



Oława, 1.06.2013 r.

**Bo prócz ogniska o coś nam chodzi,
Bo prócz piosenek coś w sercu tkwi.
Bo prócz wędrówki coś trzeba zrobić,
Bo bez Przyjaciół nie można żyć...**

Jeśli Druhu, Druhu, dostaliście tego maila, to znaczy, że gdzieś na drodze mojego życia usiedliśmy wokół Ognia. Może byłam Waszą nastoletnią kursantką, a może już razem kształciliśmy przyszłych instruktorów Związku, może przygotowywaliśmy się do udziału w jakimś ważnym harcerskim czy skautowym wydarzeniu, a może biwakowaliśmy gdzieś z naszymi zuchami i harcerzami... Na pewno razem rozpaliliśmy promyki radości w niejednym sercu. Jestem Justyna z Oławy, dawniej Gachowska, dziś Piotrowska

Harcerstwo to nie był mój sposób na życie – to po prostu było moje życie. Mam 34 lata, od 19 prowadzę drużynę. Kiedyś wymarzyłam sobie, że moi harcerze, niezależnie od tego, czy pochodzą z bogatych, czy skromnych rodzin, wszyscy pojadą cieszyć się stuleciem skautingu na Jamboree w Anglii. Po dwóch latach ciężkiej pracy, w sierpniowy poranek 2007 roku odnawialiśmy Przyrzeczenie w gronie skautów z całego świata. Pięć miesięcy później urodziłam Córeczkę Blankę. Najprawdopodobniej ciężki poród wywołał u mnie niemal nie znaną chorobę - tętnicze nadciśnienie płucne. Dwa i pół roku tułaczki po szpitalach i prywatnych gabinetach nie przyniosły właściwej diagnozy – słyszałam, że mam zdrowe serce i płuca (źle opisywano moje tomografy i rezonanse), że mam się zapisać na aerobik i pójść do psychiatry, bo wymyślam sobie chorobę. A ja słabłam z każdym dniem. Jak bardzo jest ze mną źle, zrozumiałam na Zlocie Stulecia Harcerstwa w Krakowie. Nie nadążałam już nie tylko za wędrującą na zajęcia drużyną, ale także za tuptającą po złotych drózkach dwuletnią Córeczką. Zdiagnozowana zostałam trzy tygodnie po zlocie. Dwa i pół roku za późno, chore płuca zniszczyły serce, które w dodatku wykańczałam regularnie wysiłkiem fizycznym zabronionym w mojej chorobie, a zalecanym stale przez nieświadomych lekarzy.

Walki z NFZ o bardzo drogie leki i bardzo uciążliwe leczenie, ciągłe wyjazdy do klinik we Wrocławiu, Warszawie i Otwocku - to moje życie od końca sierpnia 2010 roku. Mimo wszystko nie zrezygnowałam z pracy w szkole i do dziś prowadzę moją ukochaną drużynę, choć nie mogę już z nią nigdzie wyjechać, na miejsca spotkań muszę dotrzeć za nimi samochodem, a podstawowym kryterium mojej obecności gdziekolwiek jest winda. Schody stanowią dziś dla mnie barierę nie do pokonania. Wspierają mnie siostra, mąż i mama.

Od półtora roku wiadomo już, że leczenie w moim przypadku nie przynosi efektów, leki wyniszczyły potwornie mój organizm. Nic w nim już nie działa prawidłowo, a od września mam ogromne wodobrzusze – w mojej jamie brzusznej gromadzi się kilkanaście litrów płynu, mechanicznie ściągany wraca w ciągu kilku dni, przez co stale muszę leżeć w szpitalu i niemal zupełnie nie mogę się już poruszać. Właśnie żegnam się z pracą zawodową, granatowy sznur oddałam mężowi. Na stałe mam podłączoną pompę, która tłoczy mi do płuc substancję, która choć odrobinę rozpycha sklejone żyły. To tak, jak bym stale dostawała chemię.